

7. MELODIA

Musiałem czekać kiedy wróciłem do szkoły. Ostatnia godzina lekcji nie skończyła się jeszcze. To się dobrze składało, bo miałem kilka rzeczy do przemyślenia i potrzebowałem trochę samotności.

Jej zapach pozostał w samochodzie. Otworzyłem okna, pozwalając by mnie zaatakował, próbując przyzwycząić się do uczucia świadomego ognia w moim gardle.

Pociąg fizyczny.

To była kłopotliwa sprawa do rozmyślań. Tyle stron, tyle różnych znaczeń i poziomów. Nie zupełnie to samo co miłość, ale związane ze sobą nierozdzielnie.

Nie miałem pojęcia czy Bella była dla mnie atrakcyjna. Czy jej umysłowa cisza robiła się jakoś bardziej i bardziej frustrująca jak wpadałem w gniew? Lub czy był jakiś limit który w pewnym momencie bym osiągnął?

Staralem się porównać jej fizyczne reakcje z innymi, jak z sekretarką czy Jessicą Stanley, ale było ono nie do rozstrzygnięcia. Te same znaki - zmienne uderzenia serca i oddychania - mogły po prostu oznaczać strach, szok czy niepokój tak samo jak zainteresowanie. Wydawało się nieprawdopodobne, że Bella mogła się cieszyć myślami takimi jakie zwykle miała Jessica Stanley. Mimo wszystko, Bella świetnie wiedziała, że ze mną nie wszystko było w porządku, chociaż nie wiedziała dokładnie co. Dotknęła mojej lodowatej skóry i odskoczyła z zimna.

A jednak... pamiętałem te fantazję, które mnie odrzucały, ale rozpamiętywałem je teraz z Bellą na miejscu Jessici...

Oddychałem teraz szybciej, ogień drapał mnie z góry na dół w gardle.

A co by było jeśli to *Bella* wyobrażała by sobie mnie obejmującego ramionami jej kruche ciało? Czująca mnie trzymającego ją blisko siebie, a potem kładącego moją rękę pod jej podbródkiem? Odgarniającego ciężką kurtynę jej czarnych włosów z jej rumieniącej się twarzy? Śledzącego linię jej pełnych warg opuszkami palców? Przybliżającego moją twarz tak blisko jej, że mógłbym poczuć jej ciepły oddech na ustach? Wciąż przybliżającego się...

Ale zaraz wyrwałem się z tych fantazji, wiedząc, tak jak wiedziałem kiedy Jessica marzyła sobie o takich rzeczach, co by się stało jak bym się tak do niej zbliżył.

Atrakcyjność była niemożliwą rozterką, ponieważ ja już byłem atrakcyjny dla

Belli w najgorszy z możliwych sposobów.

Czy chciałem żeby Bella była pociągająca dla mnie, jak kobieta dla mężczyzny?

Nie, to było złe pytanie. Właściwe było czy *powinienem* chcieć by Bella była dla mnie atrakcyjna w ten sposób i odpowiedzią było nie. Bo nie byłem człowiekiem i to nie było w porządku w stosunku do niej.

Każdą częstką mojego istnienia, pragnąłem być normalnym mężczyzną, tak żebym mógł trzymać ją w moich ramionach bez ryzykowania jej życia. Żebym mógł snuć swoje własne fantazje, fantazje które nie skończyły by się widokiem jej krwi na moich rękach, jej krwią która była by widoczna w moich oczach.

Moja pogoń za nią była niewybaczalna. Jaki rodzaj związku mógłbym jej oferować, kiedy nawet zwykły dotyk mógł się dla niej skończyć śmiercią?

Objąłem głowę rękami.

To było nawet bardziej mylące, bo jeszcze nigdy nie czułem się tak ludzko przez całe moje życie – nawet wtedy kiedy byłem człowiekiem, jak mogłem sobie przypomnieć. Kiedy nim byłem, moje wszystkie myśli były zajęte chwałą żołnierską. Pierwsza Wojna Światowa szalała przez większą część mojego okresu dorastania i brakowało mi tylko 8 miesięcy do moich osiemnastych urodzin kiedy hiszpańska grypa uderzyła... Miałem tylko niejasne wrażenia tych ludzkich lat, ciemne wspomnienia które blakły z każdą mijającą dekadą. Najjaśniej pamiętam moją matkę, i czułem wiekowy ból kiedy pomyślałem o jej twarzy. Przypominałem sobie blado jak bardzo nienawidziła przyszłości do której ochoczo się wyrывałem, modląc się każdej nocy kiedy ona marzyła żeby ta „okropna wojna” się wreszcie skończyła... Nie miałem innych wspomnień innego rodzaju tęsknoty. Poza miłością mojej matki, nie było żadnej innej która mogła sprawić, że bym został...

To było dla mnie zupełnie nowe. Nie miałem żadnych podobieństw, żadnych porównań.

Miłość, którą czułem do Belli przyszła czysta, ale teraz wody były mętne. Chciałem tak bardzo jej dotknąć. Czy ona czuła to samo?

To nie ma znaczenia, przekonywałem się nieustannie.

Spojrzałem na moje białe ręce, nienawidząc ich twardości, ich zimna, ich nieludzkiej siły...

Podskoczyłem kiedy otworzyły się drzwi.

Ha. Złapałem Cię z zaskoczenia. Po raz pierwszy.

Pomyślał Emmett wślizgując się na siedzenie.

- Założę się, że Pani Goff myśli, że bierzesz narkotyki, byłeś tak nieobliczalny ostatnio. Co robiłeś?

- Robiłem... dobre uczynki.

Co?

- Opiekowałem się chorym, coś w tym rodzaju. – zachichotałem.

To go zmyliło jeszcze bardziej, ale wtedy zrobił wdech i poczuł zapach rozchodzący się w samochodzie.

- Och. Znów ta dziewczyna?

Skrzywiłem się.

To się robi coraz bardziej dziwne.

- I mnie to mówisz. – wymamrotałem.

Znów zaczerpnął powietrza.

- Hmm, ona ma jednak pewien smak, no nie?

Warknięcie wydobyło się z moich ust jeszcze zanim przeanalizowałem jego słowa, automatyczna reakcja.

- Spokojnie, dzieciaku. Tak tylko gadam.

Nadeszli inni. Rosalie wyczuła zapach i rzuciła mi wściekłe spojrzenie, wciąż nie mogąc dać sobie spokoju ze swoją irytacją. Zastanawiałem się jaki miała teraz problem, ale wszystko co mogłem tylko usłyszeć to były tylko obelgi.

Nie podobała mi się także reakcja Jaspera. Tak jak Emmett, zauważył on także urok zapachu Belli. Nie żeby był on dla nich tak samo pociągający jak dla mnie. Zasmuciło mnie to, że dla nich też był taki słodki. Jasper nie miał tak silnej woli...

Alice podskoczyła na moją stronę i wyciągnęła rękę w stronę kluczyków od furgonetki Belli.

- Widziałam tylko, że byłam. – powiedziała, niejasno, jak to miała w zwyczaju
- Będiesz musiał mi powiedzieć dlaczego.

- To nie oznacza, że...

- Wiem, wiem. Poczekam. Nie potrwa to długo.

Westchnąłem i podałem jej kluczyki.

Podążyłem za nią do domu Belli. Deszcz uderzał jak milion małych młoteczków, tak głośno, że może ludzki słuch Belli mógł nie usłyszeć odgłosów silnika furgonetki. Obserwowałem jej okno, ale nie wyjrzała przez nie. Może jej tam nie było.

Nie było żadnych myśli do usłyszenia.

Zrobiło mi się smutno, że nie mogłem ich usłyszeć chociaż na tyle, żeby się upewnić czy była szczęśliwa lub chociaż bezpieczna.

Alice wdrapała się powrotem i popędziliśmy do domu. Drogi były puste, więc zajęło nam to tylko parę minut. Weszliśmy razem do domu i rozeszliśmy się do naszych własnych rozrywek.

Emmett i Jasper byli w połowie swojej zawilej rozgrywki szachowej, w której wykorzystywali osiem plansz – rozciągających się wzdłuż tylnej, szklanej ściany

- i ich własne skomplikowane zasady. Nie pozwolili by mi grać; jedynie wciąż Alice chciała to robić.

Alice podeszła do swojego komputera, tuż w koncie przy nich i mogłem usłyszeć jak jej monitory budzą się do życia. Pracowała nad projektem garderoby Rosalie, ale ta nie dołączyła do niej dzisiaj, żeby stać za nią i decydować o cięciach i kolorach kiedy ręka Alice przesuwiała się po wrażliwych monitorach (Carlisle i ja musieliśmy ulepszyć trochę system, tak żeby odpowiadała im nasza temperatura). Zamiast tego, dzisiaj Rosalie rozciągnęła się na sofie i zaczęła przeskakiwać przez dwadzieścia kanałów na sekundę, nigdy się nie zatrzymując. Mogłem usłyszeć jej myśli w których debatowała czy nie pójść do garażu i pokręcić jej BMW.

Esme była na górze, nuciła nad nowym zestawem niebieskich odbitek.

Po chwili Alice oparła głowę o ścianę i zaczęła bezgłośnie mówić o następnych ruchach Emmetta - który siedział na podłodze tyłem do niej - do Jaspera, który utrzymywał bardzo jednolity wyraz twarzy kiedy zbił ulubionego rycerza Emmetta.

A ja, po raz pierwszy od tak długiego czasu, że prawie się zawstydzilem, usiadłem do wspaniałego fortepianu usytuowanego tuż przed wejściem.

Przebiegłem delikatnie ręką po klawiszach, sprawdzając tony. Wciąż był perfekcyjnie nastrojony.

Na górze, Esme przerwała swoje zajęcia i przekrzywiła głowę.

Edward znów gra.

Pomyślała radośnie, szeroko się uśmiechając. Wstała od biurka i cicho przemknęła się na szczyt schodów.

Dodałem harmonizującą się z resztą linię, pozwalając jej się przeplatać z główną melodią.

Esme westchnęła z radością, usiadła na górnym stopniu i oparła głowę o balustradę.

Nowa piosenka. Już tak dawno . . . Co za cudowny ton.

Pozwoliłem by melodia podążyla w nowym kierunku, dodając linie basowe.

Edward znów komponuje?

Pomyślała Rosalie, a jej zęby zacisnęły się w zaciętym oburzeniu.

W tej chwili się potknęła i mogłem usłyszeć jej ukrytą obrazę. Dlaczego była takim kiepskim nastroju w związku ze mną. Dlaczego zabicie Izabelli Swan nie ruszało wcale jej sumienia.

Z Rosalie, zawsze chodzi o próżność.

Muzyka gwałtownie się zatrzymała i zaśmiałem się zanim mogłem się powstrzymać, ostre szczeknięcie uciechy, które szybko zanikło jak przyłożyłem rękę do ust.

Rosalie obróciła się żeby przeszyć mnie spojrzeniem, jej oczy błyszczały furją.

Emmett i Jasper też obrócili się żeby popatrzeć, a ja usłyszałem zmieszanie Esme. Była na dole w mgnieniu oka, obrzucając mnie i Rosalie spojrzeniami.

- Nie przestawaj, Edward.- Zachęciła po napiętym momencie.

Zacząłem znów grać, odwracając się plecami do Rosalie, bardzo starając się powstrzymać szeroki uśmiech pojawiający się na mojej twarzy. Zerwała się szybko na nogi i wypadła z pokoju, bardziej zła niż zażenowana. Ale mimo wszystko trochę jednak była.

Jeśli powiesz cokolwiek, zapoluję na Ciebie jak na psa.

Zdusiłem następny atak śmiechu.

- Co jest, Rose? - zawołał za nią Emmett. Rosalie się nie odwróciła. Szła sztywno dalej, prosto do garażu, a potem wślizgnęła się pod samochód, tak jak by chciała się tam zakopać.

- O co poszło?

- Nie mam najbłedszego pojęcia. - skłamałem gładko.

Emmett jęknął, sfrustrowany.

- Graj dalej. - ponagliła Esme. Moje ręce znów się zatrzymały.

Kiedy mnie o to prosiła, podeszła i położyła ręce na moich ramionach.

Utwór był zachwycający, jednak niekompletny. Zabawiałem się łącznikiem, ale nie brzmiało to jakoś właściwie.

- Jest urocze. Ma już jakiś tytuł?

- Jeszcze nie.

- Jest do tego jakaś historia? - zapytała z uśmiechem w głosie. Sprawiało jej to tak wielką przyjemność, że poczułem się winny z powodu zaniedbywania muzyki. Było to samolubne.

- To jest... kołysanka, jak sędzę. - Znalazłem odpowiedni łącznik w tej samej chwili. Dopasował się łatwo do głównej części utworu, brzmiąc własnym życiem.

- Kołysanka. - powiedziała sama do siebie.

Była historia do tej melodii i kiedy ją tylko ujrzałem, poszczególne kawałki utworu dopasowały się do siebie bez wysiłku. Historia opowiadała o śpiącej dziewczynie w małym łóżku, gęste czarne włosy, rozrzucone, poskręcane jak wodorosty na poduszce...

Alice pozostawiła Jaspiera jego własnemu losowi i podeszła żeby usiąść obok mnie na stołku. Jej dźwięczny, jak dzwonki głos zarysował samą melodię, dwie oktawy wyżej, bez słów.

- Podoba mi się. - wymamrotałem - A jak z tym?

Dodałem jej linię do harmonii - moje ręce przebiegały teraz poprzez klawisze,

starając się scalić wszystkie kawałki razem – modyfikując je trochę, kierując w inne strony...

Podłapała nastrój i zaśpiewała razem z nim.

- Tak. Idealnie.

Esme ścisnęła moje ramiona.

Ale już widziałem zakończenie, wraz z głosem Alice unoszącym się nad melodią i obierającym inny kierunek. Mogłem zobaczyć jak utwór musi się zakończyć, ponieważ śpiąca dziewczyna była idealna na swój sposób i jakakolwiek zmiana była by zła, smutna. Melodia popłynęła w tą stronę jak tylko to sobie uświadomiłem, coraz wolniej i wolniej. Głos Alice także zwolnił, stał się bardziej poważny, ton który rozbrzmiewał echem po łukach tłącej się płomieniami świeczek katedry.

Zagrałem ostatnią nutę, pochylając się w stronę klawiszy.

Esme pogłaskała mnie po włosach.

Będzie dobrze, Edward. To pójdzie w jak najlepszym kierunku. Zaslugujesz na szczęście, synu. Przeznaczenie jest ci to winne.

- Dzięki. – wyszeptałem, pragnąc w to uwierzyć.

Miłość nie zawsze przychodzi w niekłopotliwych paczkach.

Zaśmiałem się bez humoru.

Ty, ze wszystkich ludzi na całej tej planecie, jesteś prawdopodobnie najlepiej przygotowany do radzenia sobie z tak trudnym problemem. Jesteś najlepszy z nas wszystkich.

Westchnąłem. Każda matka by tak powiedziała.

Esme była wciąż pełna radości, że moje serce zostało dotknięte po tak długim okresie czasu, nie zważając na potencjalna tragedię. Już myślała, że na zawsze będę sam...

Ona też Cię pokocha, pomyślała nagle, zaskakując mnie kierunkiem jej myśli. Jeśli jest mądrą dziewczyną. Uśmiechnęła się. Nie mogę sobie wyobrazić nikogo tak ułomnego, że nie mógłby zobaczyć jak ujmujący jesteś.

- Mamo, przestań, sprawiasz, że się rumienię. – zacząłem się droczyć. Jej słowa, chociaż nieprawdopodobne, rozchmurzyły mnie.

Alice zaśmiała się i wybrała z górnej półki „ Serce i duszę” Uśmiechnąłem się szeroko i dokończyłem z nią w prostej harmonii. Potem uradowałem ją wykonaniem „Pałeczki”.

Zachichotała, a potem westchnęła.

- Tak bym chciała żebyś mi powiedział dlaczego tak śmiałeś się z Rose. – powiedziała – Ale widzę, że nic z tego.

- Nie bardzo.

Trzepnęła mnie w ucho.

- Bądź miła, Alice. – skarciła ją Esme – Edward stara się być tylko dżentelmenem.

- Ale ja chcę *wiedzieć*.

Zaśmiałem z jej jęczącego tonu.

- Proszę, Esme.

I zacząłem grać jej ulubioną melodię, nienazwany hołd do miłości którą oglądałem pomiędzy nią a Carlisle'em przez tyle lat.

- Dziękuję Ci, kochanie. – Znów ucisnęła moje ramiona.

Nie musiałem się koncentrować żeby zagrać znajomy kawałek. Zamiast tego pomyślałem o Rosalie, wciąż symbolicznie wijącej się w garażu i skrzywiłem się sam do siebie.

Posiadając sam swoje odkrycie na temat zazdrości, czułem do niej odrobinę litości. To było dosyć nikczemne uczucie. Oczywiście, jej zazdrość była tysiąc razy mniej ważna niż moja. Całkiem jak lis w korycie.

Zastanawiałem się jak życie i osobowość Rosalie były by inne gdyby zawsze nie była tą najpiękniejszą. Czy była by szczęśliwsza, gdy by jej uroda nie była zawsze jej najlepszą stroną do zaprezentowania się? Mniej egocentryczna? Bardziej pełna współczucia? Cóż, prawdopodobnie było to bez celowe, ponieważ przeszłość już była, a ona zawsze była najpiękniejsza. Nawet kiedy była człowiekiem, żyła w blasku własnej urody. Nie żeby jej to przeszkadzało. Wręcz przeciwnie – kochała admirację innych prawie ponad wszystko. To się nie zmieniło wraz ze stratą jej śmiertelności.

Więc nie było to zaskakujące, że biorąc to za pewnik poczuła się urażona, kiedy od samego początku, nie czciłem jej urody jej tak jak oczekiwała, że każdy mężczyzna będzie. Nie żeby chciała mnie w jakikolwiek sposób – w żadnym razie. Ale denerwowało ją, że jej nie chciałem, pomimo tego. Była przyzwyczajona do bycia pożądaną.

To było coś innego niż z Jasperem i Carlisle'em – oni już byli zakochani. Ja byłem kompletnie samotny, a mimo to uparcie nieporuszony.

Myślałem, że dawna uraza została pochowana. Że była z tym dawno pogodzona.

I była... aż do dnia kiedy czyjaś uroda dotknęła mnie w sposób który jej tego nie zrobiła.

Rosalie polegała na wierze, że jeśli nie uznałem *jej* urody wartej czci, to nie istniała taka na świecie która mogła by mnie poruszyć. Była wściekła od chwili kiedy uratowałem życie Belli, zgadując z przenikliwą kobietą intuicją, zainteresowanie które nieświadomie okazywałem.

Rosalie była śmiertelnie obrażona, że uznałem nic nie znaczącego człowieka bardziej atrakcyjnego od niej.

Powstrzymałem pragnienie ponownego wybuchnięcia śmiechem.

Przeszkadzał mi, jakoś, sposób w który postrzegała Bellę. Rosalie właściwie myślała o niej, że jest *zwyczajna*. Jak mogła w to wierzyć? Wydawało się to dla mnie niepojęte. Produkt zazdrości, bez wątpienia.

- Och! – powiedziała nagle Alice. – Jasper, zgadnij co?

Zobaczyłem to co ona właśnie widziała i moje ręce zamarły na klawiszach.

- Co Alice?

- Peter i Charlotte zamierzają nas odwiedzić w przyszłym tygodniu! Będą w okolicy, nie jest to miłe?

- Co się stało Edward? – zapytała Esme, czując napięcie na moich ramionach.

- Peter i Charlotte przyjeżdżają do *Forks*? – wysyczałem do Alice

Przewróciła oczami.

- Uspokój się Edward. To nie ich pierwsza wizyta.

Zacisnąłem zęby. To *była* ich pierwsza wizyta od przyjazdu Belli i jej słodka krew nie oddziaływała tylko na mnie.

Alice zmarszczyła brwi widząc mój wyraz twarzy.

- Oni nigdy tutaj nie polują. Wiesz to.

Ale ten jak by brat Jaspera i ta mała wampirzyca którą kochał nie byli tacy jak my; polowali bardziej tradycyjnie.

- Kiedy? – zażądałem odpowiedzi.

Zacisnęła usta niezadowolona, ale powiedziała mi to co chciałem wiedzieć.

Poniedziałek rano. Nikt nie zamierza skrzywdzić Belli.

- Nie – zgodziłem się z nią i odwróciłem się do niej plecami – Gotowy Emmett?

- Myślałem, że wyjeżdżamy rano?

- Wracamy w niedzielę przed północą. Sądzę, że to zależy od Ciebie kiedy chcesz wyjechać.

- Dobra, w porządku. Pozwól mi się najpierw pożegnać z Rose.

- Jasne. – Rosalie była teraz w takim nastroju, że to pożegnanie będzie bardzo krótkie.

Naprawdę to straciłeś, Edward pomyślał kierując się w stronę drzwi.

- Tak przypuszczam.

- Zagraj dla mnie ten nowy utwór, chociaż raz. – poprosiła Esme.

- Skoro chcesz. – zgodziłem się, chociaż byłem trochę niepewny żeby podążyc do nieuniknionego końca – końca który sprawiał mi ból w nieznanym sposób. Pomyślałem przez chwilę, a potem wyciągnąłem z kieszeni kapsel od butelki i

położyłem na pustej podstawce do nut. Pomogło trochę – małe wspomnienie jej zgody.

Pokiwałem do siebie i zacząłem grać.

Esme i Alice wymieniły spojrzenia, ale żadna z nich nie zapytała.

- Nikt Ci nie powiedział, żeby nie bawić się z jedzeniem? - zawołałem do Emmetta.

- O, hej Edward! – odkrzyknął, uśmiechając się szeroko i mrugając. Niedźwiedź wykorzystał przewagę w jego braku uwagi grabiąc jego klatę swoją ciężką łapą. Ostre szpony porwały na strzępy jego koszulę i zapisały wzdłuż skóry.

Niedźwiedź ryknął na ten przenikliwy dźwięk.

O do diabła, Rose dała mi tą koszulę!

Emmett odryknął na wściekłe zwierze.

Westchnąłem i usiadłem na dogodnym glazie. To może chwilę zająć.

Ale Emmett już prawie skończył. Pozwolił niedźwiedziowi spróbować odrąbać swoją głowę wraz z kolejnym ruchem łapy, śmiejąc się kiedy cios zachwiał niedźwiedziem. Ten ryknął, a Emmett odrykiwał mu poprzez śmiech. Potem cisnął się na zwierzaka, który stojąc na tylnych nogach był od niego o głowę wyższy i pozwolił by ich połączone ciała upadły na ziemię, wraz z pięknym drzewem. Niedźwiedź jęknął wraz z gulgotem.

Kilka minut później, Emmett podbiegł do miejsca gdzie na niego czekałem. Jego koszula była zniszczona, rozdarta i pokrwawiona, lepka od soku i poryta futrem. Jego ciemne kręcone włosy nie były w lepszym stanie. Miał szeroki uśmiech na twarzy.

- Ten był silny. Mogłem prawie coś poczuć kiedy się na mnie zamachnął.

- Straszny z Ciebie dzieciak, Emmett.

Oglądnął moją gładką, czystą i zapiętą koszulę.

- Nie byłeś w stanie wytropić tej pумы?

- Pewnie, że byłem. Po prostu nie jem jak jakiś dzikus.

Emmett zaśmiał się swoim dudniącym śmiechem.

- Chciałbym żeby były silniejsze. Było by więcej zabawy.

- Nikt Ci nie kazał walczyć ze swoim posiłkiem.

- Taa, ale z kim innym miał bym walczyć? Ty i Alice oszukujecie, Rose nigdy nie chce zepsuć sobie fryzury, a Esme się wścieka, kiedy ja i Jasper *naprawdę* się zaangażujemy.

- Życie jest ciężkie, nieprawdaż?

Emmett uśmiechnął się szeroko do mnie, przesuwając trochę swoją wagę, tak, że nagle był w równowadze żeby się odbić.

- Daj spokój Edward. Po prostu wyłącz to na chwilę i powalcz ze mną fair.

- Tego się nie da wyłączyć.

- Ciekawe co ta ludzka dziewczyna w sobie ma, że trzyma Cię z daleka? - zadumał się - może mogła by mi dać jakieś wskazówki.

Mój dobry humor wyparował.

- Trzymaj się od niej z daleka. - wycodziłem.

- Drażliwy, drażliwy.

Westchnąłem. Emmett podszedł i usiadł obok mnie na skale.

- Przepraszam. Wiem, że przechodzisz przez groźne chwile. Naprawdę się staram nie być niewrażliwym dupkiem, ale jako, że jest to tak jak by mój naturalny stan...

Odczekał chwilę abym zaśmiał się z jego żartu, a potem zrobił minę.

Taki poważny przez cały czas. Co cię teraz dręczy?

- Myślę o niej. Cóż, tak naprawdę się martwię.

- A o co się martwić? *Ty jesteś tutaj.* - zaśmiał się głośno.

Znów zignorowałem jego żart, ale odpowiedziałem na pytanie.

- Czy kiedykolwiek myślałeś o tym jak oni wszyscy są delikatni? Jak wiele złych rzeczy może przydarzyć się śmiertelnikom?

- Nie bardzo. Chociaż myślę, że wiem o co Ci chodzi. Nie bardzo dawałem sobie radę z niedźwiedziem za pierwszym razem kiedy go spotkałem, nie?

- Niedźwiedzie. - wymamrotałem, dodając nową katastrofę do kupki - To było by po prostu jej szczęście, nieprawdaż? Zabłąkany niedźwiedź w mieście. Oczywiście poszedł by prosto w kierunku Belli.

Emmett zachichotał.

- Zdajesz sobie sprawę, że brzmisz jak jakiś wariat?

- Po prostu wyobraź sobie przez minutę, że Rosalie jest człowiekiem. I może wpaść na niedźwiedzia... lub być potracona przez samochód... lub *trafiona błyskawicą*...lub może spaść ze schodów... lub zachorować - *śmiertelnie!* - słowa wydobywały się ze mnie gwałtownie. To była taka ulga móc je wypowiedzieć - wypalały mnie od środka przez cały weekend. - Pożary i trzęsienia ziemi i tornada! Ugh! Kiedy ostatni raz oglądałeś wiadomości? Czy chociaż *widziałeś* jakie rzeczy im się przytrafiają? Włamania i morderstwa...

- moje zęby się zacisnęły i nagle ogarnęła mnie furia na myśl, że inny człowiek mógłby ją skrzywdzić, że nie mogłem oddychać.

- Whoa, whoa! Wyluzuj, dzieciaku! Ona mieszka w Forks, pamiętasz? Najwyżej ją zaleje. – wzruszył ramionami.

- Myślę, że ona ma jakiegoś strasznego pecha Emmett, naprawdę. Spójrz na dowody. Ze wszystkich miejsc na świecie gdzie mogła trafić, pada na Forks, gdzie *wampiry* stanowią znaczącą część populacji.

- Taa, ale my jesteśmy wegetarianami. Więc nie jest to szczęście, a nie pech?

- Z tym jak ona pachnie? Zdecydowanie pech. I w końcu, jeszcze bardziej pechowo, z tym jak ona pachnie dla *mnie*. – Spojrzałem znów na swoje ręce, nienawidząc ich.

- Poza tym, że posiadasz więcej samokontroli poza Carlisle'em. Powodzenia.

- A van?

- To był tylko wypadek.

- Powinieneś to widzieć, Em, zbliżające się do niej znów i znów. Przysięgam, to było tak jak by miała jakąś przyciągającą siłę.

- Ale Ty tam byłeś. To było raczej szczęście.

- Tak? Nie jest to najgorszy rodzaj szczęścia jakie człowiek może mieć – *zakochanego w nim wampira*?

Emmett rozważał to przez chwilę. Wyobraził sobie dziewczynę i nie mógł znaleźć w tym niczego interesującego.

Szczerze mówiąc, nie mogę znaleźć w niej nic atrakcyjnego.

- Cóż, ja nie mogę zobaczyć powabu Rosalie. – powiedziałem okrutnie – *Szczerze mówiąc*, ona wydaje się bardziej warta wysiłku niż jakakolwiek ładna buzia.

Emmett zachichotał.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć...

- Nie mam pojęcia jaki ona ma problem, Emmett. – skłamałem z nagłym, szerokim uśmiechem.

Zobaczyłem jego intencję w samą porę żeby się zaprzeć. Spróbował mnie zrzucić ze skały i rozszedł się głośny odgłos odłamywania, kiedy pojawiła się szczelina między nami.

- Oszust. – wymamrotał.

Oczekiwałem, że spróbuje jeszcze raz, ale jego myśli przybrały inny kierunek. Wyobrażał sobie twarz Belli, tylko że bielszą, z szkarłatnymi oczami...

- Nie. – powiedziałem zduszonym głosem.

- To rozwiązało by wszystkie Twoje problemy dotyczące moralności, nie? I nie chciał byś jej także zabić. Nie jest to najlepsze wyjście?

- Dla mnie? Czy dla niej?

- Dla Ciebie. – odpowiedział lekko. Jego ton głosu wręcz dodawał *oczywiście*.

Zaśmiałem się bez humoru.

- Zła odpowiedź.

- Mnie aż tak to nie przeszkadzało. – przypomniał mi.

- Rosalie tak.

Westchnął. Oboje wiedzieliśmy, że Rosalie oddała by wszystko tylko po to żeby móc być znów człowiekiem. Nawet Emmetta.

- Taa, Rosalie tak. – zgodził się cicho.

- Nie mogę... Nie powinienem... Nie zamierzam zrujnować Belli życia. Nie czuł byś tego samego, gdyby chodziło o Rosalie?

Emmett myślał o tym przez chwilę.

Ty naprawdę... ją kochasz?

- Nie potrafię tego nawet opisać, Emmett. Nagle, ta dziewczyna stała się dla mnie całym światem. Nie widzę *sensu* dalszego istnienia świata bez niej.

Ale jej nie przemienisz? Edward, ona nie będzie istniała wiecznie.

- Wiem. – jęknąłem.

I, jak to wykazałeś, jest żdziebko łamliwa.

- Wierz mi, wiem to też.

Emmett nie był za taktowną osobą i taka dyskusja nie była jego mocną stroną. Szarpał się, chcąc nie być zbyt niedelikatny.

Czy Ty jej możesz chociaż dotknąć? Mam na myśli, jeśli ją kochasz... nie chciał byś jej, no cóż, dotknąć...?

Emmett i Rosalie dzielili się intensywną miłością fizyczną. To było dla niego trudne, wyobrazić sobie jak ktoś *mógł* kochać bez tego aspektu.

Westchnąłem.

- Nie mogę pozwolić sobie nawet o tym myśleć, Emmett.

Wow. Więc jakie masz opcje?

- Nie wiem – wyszeptałem – Staram się wykombinować jakiś sposób żeby... ją zostawić. Nie mogę pojąć jak to miał bym zrobić, trzymać się od niej z daleka...

Z głębokim zadowoleniem uświadomiłem sobie, że było *właściwe* żebym został – przynajmniej teraz, kiedy Peter i Charlotte byli w drodze. Była bezpieczniejsza ze mną, tymczasowo, niżby była gdybym był daleko. Na chwilę, mógłbym być jej nieoczekiwanym obrońcą.

Ta myśl mnie zaniepokoiła; świerzbilo mnie żeby wrócić do domu, tak aby spełniać swoją rolę tak długo jak się tylko da.

Emmett zauważył zmiany na mojej twarzy.

O czym teraz myślisz?

- W tej chwili – przyznałem się trochę zawstydzony – aż się palę, żeby pociec z powrotem do Forks żeby sprawdzić co u niej. Nie wiem czy wytrzymam aż do niedzielnej nocy.

- Uh-uh! Nie *wracasz* do domu wcześniej! Pozwól Rosalie trochę ochłonać. Proszę! Ze względu na mnie!

- Postaram się zostać. – powiedziałem powątpiewająco.

Emmett klepnął telefon znajdujący się w mojej kieszeni.

- Alice by zadzwoniła gdy by były jakiekolwiek podstawy dla Twojego ataku paniki. Ona jest zakręcona na punkcie tej dziewczyny tak samo jak Ty.

Skrzywiłem się na te słowa.

- Dobra. Ale nie zostanę do niedzieli.

- Nie ma sensu żeby aż tak lecieć – i tak będzie słonecznie. Alice powiedziała, że jesteśmy wolni od szkoły aż do środy.

Pokręciłem twardo głową.

- Peter i Charlotte wiedzą jak się mają zachowywać.

- Nic mnie to nie obchodzi, Emmett. Ze pechem Belli, powędruje do lasu dokładnie w złej chwili... -wzdrygnąłem się – Peter nie jest znany z samokontroli. Wracam przed niedzielą.

Emmett westchnął.

Zupełnie jak jakiś psychol.

Bella spokojnie spała kiedy wspiałem się do jej pokoju wczesnym ,poniedziałkowym rankiem. Pamiętałem o oliwie tym razem i okno usunęło się cicho z mojej drogi.

Mogłem powiedzieć z samego ułożenia jej włosów, że miała mniej spokojną noc tym razem. Jej dłonie były złożone pod policzkami, jak u małego dziecka, a jej usta były lekko otwarte. Mogłem usłyszeć oddech prześlizgujący się w tę i powrotem przez jej usta.

Była to niesamowita ulga móc być tutaj, móc znów ją zobaczyć. Uświadomiłem sobie, że nie byłem prawdziwie zadowolony w tym przypadku. Nic nie było w porządku, kiedy byłem z daleka od niej.

Nie żeby wszystko było w porządku kiedy byłem. Westchnąłem, pozwalając

pierwszemu płomykowi przebiec przez moje gardło. Byłem zbyt długo z daleka od niej. Czas spędzony bez napięcia i bólu sprawił, że odczuwałem wszystko silniej. Było już wystarczająco źle, że nie mogłem uklęknąć przy jej łóżku żeby zobaczyć okładki jej książek. Chciałem znać historie w jej głowie, ale bałem się bardziej o moje pragnienie, bałem się, że jeśli pozwolę sobie na zbliżenie się do niej, będę chciał być jeszcze bliżej...

Jej usta wyglądały na bardzo ciepłe i miękkie. Mogłem sobie wyobrazić dotykanie ich opuszkami palca. Tylko troszkę...

To był dokładnie ten rodzaj błędów których musiałem unikać.

Moje oczy przebiegały po jej twarzy, szukając zmian. Śmiertelnicy zmieniają się cały czas – robiło mi się smutno na myśl, że mogłbym coś przegapić...

Pomyślałem, że wygląda... na zmęczoną. Jak by nie miała wystarczająco snu przez weekend. Gdzieś wychodziła?

Zaśmiałem się cicho i kwaśno, na myśl o tym jak bardzo mnie to zasmuciło. A nawet jeśli gdzieś wyszła, to co? Nie miałem jej. Nie była moja.

Nie, nie była moja – i znów byłem smutny.

Jedna z jej dłoni drgnęła i zauważyłem, że znajdowały się tam powierzchowne, ledwo zagojone obtarcia. Zraniła się? Mimo, że była to zupełnie niepoważna kontuzja, rozproszyła mnie. Rozważyłem umiejscowienie jej i zdecydowałem, że musiała się potknąć. Wydawało się to sensowne, biorąc wszystko pod uwagę.

Było pocieszające, że nie musiałem składać do kupy tych małych tajemnic wiecznie. Byliśmy teraz *przyjaciółmi* – albo chociaż staraliśmy się być. Mogłem ją zapytać o to co porabiała w weekend – o plażę lub jakąkolwiek nocną aktywność, która sprawiła, że wyglądała tak marnie. Mogłem zapytać co się stało jej dłoniom. I trochę się zaśmiać jeśli by potwierdziła moją teorię.

Uśmiechnąłem się delikatnie zastanawiając się czy wpadła do tego oceanu. Zastanawiałem się czy miło spędziła czas na wycieczce. Zastanawiałem się czy pomyślała o mnie, chociaż trochę. Czy tęskniła za mną chociaż minimalną ilością tej tęsknoty którą ja czułem do niej.

Staralem się wyobrazić ją sobie w słońcu na plaży. Jednak obraz był niekompletny, bo nigdy nie byłem na plaży w La Push. Wiedziałem jak wyglądała tylko z obrazków...

Poczułem odrobinę niepokoju kiedy pomyślałem o przyczynie przez którą nigdy nie byłem na tej ładnej plaży, usytuowanej tylko kilka minut od mojego domu. Bella spędziła ten dzień w La Push – miejscu gdzie moja obecność była zakazana przez pakt. Miejscu gdzie kilku starych mężczyzn wciąż pamiętało historie o Cullenach, pamiętało i wierzyło w nie. Miejscu gdzie nasz sekret był znany...

Potrząsnąłem głową. Nie miałem się czym martwić. Quileute'owie też byli związani tym paktem. Nawet jeśli Bella by wpadła na któregoś z tych wiekowych mędrków, nie mogli jej nic powiedzieć. I dlaczego ten temat miałby

być w ogóle poruszony? Dlaczego Bella miała by dać ujście swojej ciekawości właśnie tam? Nie, Quileute'owie byli prawdopodobnie *jedyną* rzeczą o którą nie musiałem się martwić.

Zacząłem się robić rozdrażniony, kiedy słońce wzeszło. Przypomniało mi to, że nie mogłem zaspokoić swojej ciekawości w najbliższych dniach. Dlaczego musiało świecić właśnie teraz?

Z westchnieniem, wyskoczyłem z jej okna zanim zaczęło świecić na tyle by ktoś mógł mnie zauważyć. Zamierzałem zostać w gęstym lesie rosnącym dookoła jej domu i zobaczyć jak wybiera się do szkoły, ale kiedy dotarłem do linii drzew, nagle zaskoczył mnie jej zapach unoszący się na szlaku.

Podążyłem nim szybko, zaciekawiony, robiąc się coraz bardziej i bardziej zmartwiony im głębiej wchodziłem w ciemność. Co Bella robiła *tutaj*?

Ślad nagle się urwał, praktycznie w samym środku niczego. Zeszła tylko trochę z utartego szlaku, w paprocie, gdzie dotknęła pnia zwalonego drzewa. Możliwe, że tu usiadła...

Usiadłem, tam gdzie ona i rozejrzałem się dookoła. Wszystko co mogła by zobaczyć to były tylko paprocie i las. Prawdopodobnie padało – jej zapach zmył się z powietrza i wsiąknął głębiej w drzewo.

Dlaczego Bella miała by tu przyjść samotnie – była sama, nie miałem żadnych wątpliwości – w samym środku mokrego, mrocznego lasu?

Nie miało to żadnego sensu, i w przeciwieństwie do innych spraw które mnie ciekawiły, nie mogłem tego ot tak przywołać w zwykłej rozmowie.

Więc, Bella, podążyłem za Twoim zapachem poprzez las, tuż po tym jak opuściłem Twój pokój gdzie patrzyłem jak śpisz...

O, tak to na pewno przełamało by wszystkie lody.

Nigdy nie będę wiedział co robiła tutaj i o czym myślała, a to sprawiło, że zacisnąłem zęby w niemej frustracji. Gorzej, to brzmiało dokładnie tak jak scenariusz który zaprezentowałem Emmettowi – Bella wędrująca samotnie poprzez las, gdzie jej zapach mógł przywołać każdego, kto miał dostatecznie wyostrzone zmysły....

Jęknąłem. Nie tylko, że miała gigantycznego pecha, ale jeszcze wręcz go przyzywała.

Cóż, w tej chwili miała obrońcę. Będę się nią opiekował, chronił ją, przynajmniej tak długo jak było to uzasadnione.

Nagle przyłapałem się na tym, że zacząłem marzyć, żeby Peter i Charlotte przedłużyli swój pobyt.

TRANS BY TALIA DLA <http://www.twilightseries.fora.pl/>